ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 13 maja 1922 roku. № 19.

Juljusz German. Powieść.

19) TWARZ Z ZA KURTYNY.

W cieniu korytarza drżały dyszące ich oddechy. I nagle odrzucił ją od siebie takim samym ruchem, jakim porwał ją przed minutą. Owionął go, z tych gładkich piersi idący, wiew obcy a mimo to w najwstydliwszej tajni wrażeń znany, wiew ciała, które, choć najcudniejsze. echem gnilnych wyziewów paruje. Wydarł się, biegnąc prawie pospieszył w skręt ulicy. Pogonił za nim krótki, nienawiścią spieniony, obelżywy krzyk.

Chciał jeszcze w nim ktoś drugi zatrzymać się, ociągać, może wrócić. Zmógł go, w jednym przebłysku woli usunął w cień niepamięci.

Za chwilę był w domu, wchodził do sypialni.

Ciemno. Przejrzysty obłok mroku rozświetlał się koło pościeli. Podszedł do łóżka.

Choć zimny lęk przejmuje przed nią, tam śpiącą, przy niej, przy niej tylko ratunek! Przed wstydem, przed niepokojem, przed wszystkiem, co nieznane i groźne.

Ujął ją ostrożnie za rękę.

Otworzyła oczy. Uśmiech czystego błękitu wykwitł kwiatem z bladych lic.

— Byłeś przez cały czas przy mnie?

— Przy tobie—rzekł ze schyloną głową.—Nie!—wyrwał się jęk cichy.

Patrzyła nań długo, ściskając delikatnie jego dłoń.

Uczuł, że choć nie powiedział jej ani słowa, wie wszystko. Wie wszystko i z łagodną, czułą ironją przebacza. Nawet więcej, niż przebacza... uśmiecha się.

To uczucie, że po raz pierwszy zrozumieli się wprost myślami, zdjęło z niego w radosnej sekundzie dotkliwą bojaźń, która przed tajemnicą jej odrębnego istnienia w dreszczu się cofała.

I wydało mu się, że jakby przez wpółuchylone drzwi zajrzał do wnętrza własnej istoty... Zjaśniał tam, jak na dnie studni, błysk promienny...

Spletli ciaśniej ręce w porywie wyższym, niż modlitwa.

— A jednak, jakie to będzie dziwne, jeżeli tam nie będziemy razem — szepnęła Lili, wpół na jawie, wpół w sennem jeszcze zadumaniu.

— Pan minister... to jest starszy pan przyszedł... bardzo niespokojny — rozległ się w progu dźwięczny głosik Hanki.

OBRĘCZ Z NIEWOLNIC.

Więc to pańskie ostatnie słowo, panie Bronicz?—spytał niski, krępy człowiek w dużych rogowych okularach na garbatym nosie, z gniewnie zaczerwienioną, opasłą twarzą.

— Powiedziałem panu przed pół godziną, że propozycji pańskiej nie przyjmuję. Gdybym się na nią zgodził, wyśmiałby mnie pan potem pierwszy, panie Menkeszewski. A mam taki zwyczaj, że na to nie pozwolę nikomu. Tracimy czas niepotrzebnie.

— A ja straciłem na panu najmniej ze trzy miljony!—krzyknął gruby człowiek z wściekłością.

Oczy Bronicza zaświeciły twardym połyskiem.

— Ciszej, jeśli łaska!—Rozumie pan! U mnie głosu się nie podnosi. Nie jest pan tu na czarnej giełdzie!

Spojrzał na zegarek i rzekł znowu prawie uprzejmie:

— Znam pana nie od dzisiaj i dziwię się panu. Kupił pan za moją poradą parę tysięcy akcji „Elektropolu". Przed trzema dniami przybiegł pan do mnie, wystraszony bezrobociem w zakładach firmy, i błagał, żebym akcje wziął z powrotem. Dobrze. Poszedłem panu na rękę, choć mi się to nie składało, gdyż chciałem inaczej zadysponować sumą, którą panu wypłaciłem. Zdarzyło się, że dziś akcje poszły niespodziewanie w górę. Teraz mnie pan nudzi, żebym oddał panu znowu te akcje po kursie, po jakim mi je pan sprzedał. Przecież to wprost zabawne. Postukaj się pan palcem w czoło.

— Dlaczego pan ma tyle zarobić, a nie ja?

Z poza okularów zamigotał żółty płomyk pasji, oślizłej bezradnie.

— Dlaczego nie ja? Pomagałem panu, gdy pan rozpoczynał interesa. Dałem panu kredyt nie raz i nie dwa razy.

— I nie było to chyba z pańską szkodą.

— Dodam panu dwadzieścia, no trzydzieści procent. I tak spadną panu, jak z nieba. Przed trzema dniami nie mógł pan na to liczyć. Pan ma szczęście. Ja pana bardzo, bardzo proszę, mój panie Bronicz—jęczał, łasząc się koło niego kulisto.

— Skończyłem z panem.

— Na co panu tyle pieniędzy?—syknął Menkeszewski. — Rodziny pan nie ma, żony ani dzieci. Ładny pan jest, jeszcze niestary. Kobiety może mieć pan darmo. I pańska aktorka wyszła za mąż, nic już pana nie kosztuje — dokończył zjadliwie.

Bronicz drgnął, podniósł rękę, opuścił ją ciężko na biurko..

— Proszę wyjść... w tej chwili—padły słowa jak uderzenie biczem.

Tłusta twarz człowieka w okularach powlekła się barwą ceglastosiną.

— Mnie pan wyrzuca za drzwi? Dawida Menkeszewskiego? To może pana jeszcze grubo kosztować — świszczał astmatycznym głosem.

Bronicz zadzwonił. Nad szarą kurtką z krzyżem walecznych zajaśniała wichrowata, rudawa czupryna i zielone oczy Józka, pełne gorliwości i zapytania.

— Podaj temu panu futro, ten pan bardzo się spieszy.

— Pan mnie popamięta! — zgrzytnął Menkeszewski u wyjścia.— Pan sobie zrobił ze mnie wroga!

— Bardzo proszę. I owszem — rzucił za nim Bronicz chłodne, niedbałe wyzwanie.

— Żebyś mi go tu więcej nie wpuścił, słyszysz—nakazał Józkowi, resztę gniewu rozwiewając w ostrym tonie głosu.

I uśmiechnął się zaraz do chłopca życzliwie.

— Czemu patrzysz na mnie z miną gapia? Uważam, żeś od pewnego czasu trochę zbałwaniał. Masz jakieś obłędne oczy... Co z tobą?

— Nic, proszę pana — zawołał Józek żywo. — Siedziałem sobie w przedpokoju i zamyśliłem się — bąknął ciszej.

— Idźno, filozofie, do sekretarjatu, poproś do mnie pannę Irenę.

Chłopak wyprostował smukły tors, schylił głowę, wybiegł zwinnie do bocznego pokoju.

— Coś się z nim stało — spostrzegł Bronicz ze zdziwieniem — zgrabniejszy, ma mniej kanciaste, wygładzone ruchy...

Przeglądał szybko papiery na biurku. Z rozciętej liljowej koperty wyglądał list, wsunięty do niej niedbale. Rozłożył go, podniósł do oczu, uczynił ręką gest, jakby kogoś przepraszał.

„Nie widziałam cię już z dziesięć dni. To nie wyrzut, tylko przypomnienie, że jestem. Uśmiechnięta, bez żalu, gotowa przyjść do ciebie każdej chwili. I być z tobą, nic więcej. Oprzeć głowę na twoich kolanach, rozpleść warkocze... Boś mówił, że nie lubisz tej ufryzowanej ślicznie pani, że prawdziwa treść mojej urody zjawia się wtedy, gdy mam włosy rozpuszczone na ramiona, podobna—jak się śmiałeś — do smętno dzikiej ukraińskiej wróżki. Ja ci nie będę złą „worożychą", zawsze dobro wywróżę jasne, bom ci bardzo, szczerze życzliwa, choć zaniedbana niby - kochanka. Być z tobą, więcej nic. Nie odmawiaj. A i tak jestem z tobą, bo myślę wciąż o tobie. Cóż ci to szkodzi? A może będzie pomocnem? Chodzę na bale, tańczę każdej nocy, jak szalona. Gryzą mnie spojrzenia, aż czasem się boję"...

— Pan mnie wołał?

Opięta zgrabnie w futerko, ukazując z pod krótkiej sukienki jedwabne, szare pończochy, nad nieforemnemi, sukiennemi śniegowcami cienko przejrzyste, stanęła w wyczekującej, zniechęconej trochę postawie. Hoża twarz sprytnej, uświadomionej w poufnych półszeptach pensjonarki była teraz jakby senną dojrzałością lekko zgaszona. W bronzowych oczach zastygł blask niepewny.

Bronicz zatarł ręce.

— Pani już ubrana do wyjścia. Doskonale! Zabieram panią na spacer!

Drgnęła ze zdumienia, cofnęła się zarumieniona.

— Może pani ma inne plany? Zrobi mi pani w każdym razie prawdziwą przysługę, panno Irenko. Chciałem zaglądnąć do tej mojej małej pupilki, na Solec. Pani wie?

— Wiem. Konto prywatne: „Dziewczynka bez nogi". Byłam tam przecież parę razy z pańskiego polecenia — szeptała bezbarwnym głosem urzędniczki, a usta jej i oczy zesztywniały.

— Otóż to. Powiem pani, że wolę iść tam z panią. Gdy przychodzę sam, mam nieprzyjemne wrażenie, że ci ludzie chcą być dla mnie obrzydliwie usłużni, prawie gwałtem zostawiają mnie z tą dziewczyną we dwoje, narzucają mi ją poprostu. A chociaż moja filantropia może wydawać się komuś śmieszna, jestem najszczerzej daleki od tych intencji, jakie mi przypisuje szanowna rodzina Jadzi. Tak, jeśli się nie mylę, nazywa się Jadzia...

— Cóż to? Zaczynam się tłomaczyć przed moją sekretarką? — szarpnęła go myśl szydercza i w pomroce chceń nieznanych zapaliła ognik mdło tlejący.

— A czy naprawdę jestem taki czysty?

Podniósł głowę do góry, zdecydowanym uśmiechem rozwiał w przepaść głuchą podstępne światełko.

— Więc pojedziemy? Dobrze?

— Jak pan każe.

— Nic nie każe, prosi. I jeśli tylko w czemkolwiek to pani niedogodne... Biuro skończone. Teraz jest tylko pani moją znajomą damą, która, choć z nachmurzoną buzią, jest tak ładna, że z radością obok niej ludziom się pokażę.

— Pojadę, pojadę z panem! — krzyknęła, składając ręce przytulnie. Cóż utajonego boleśnie rozprężyło się w tym krzyku i wpadło w cień z powrotem.

Zeszli do samochodu. Otulił ją troskliwie pledem.

— Co to za humorystyczna moda? Pantofelki w tych bryłowatych berlaczach, a nad niemi nóżki prawie gołe.

Przesunął ręką po czole, wciągnął pełnemi płucami roziskrzony mrozem wiew szumiącago pędu.

— Tak po tych wszystkich interesach muszę się czasem trochę orzeźwić, odetchnąć wonią naiwności, popatrzeć na twarze świeże jak zroszone deszczem polne kwiaty. Dlatego tam jadę. Skądże mi się wzięło to poetyczne porównanie. Zły to znak. I to szukanie wiosny... Zaczynam djabelnie wyglądać na podstarzałego królewicza z bajki — zadrwił łagodnie.

— Jak pan może nawet żartem tak mówić—zaprotestowała gorąco. — Pan i stary... W tym ciągłym ruchu, zawrocie, z płonącemi oczami, niestrudzony. Nikt na świecie nie potrafi wyobrazić sobie pana starym...

Spojrzał na nią z miłym, zabarwionym ironią uśmiechem.

— Nikt na świecie. Nawet ja sam. A jednak gdzieś tam, w jamie lat, co przyjdą, czyha zmora starości...

Zapalił papierosa. Strząsnął niedbale popiół przez poręcz siedzenia.

— Nie schwyci mnie, o nie! — rzekł mocno, rzucając w przestrzeń stalowy błysk oczu jak ostrze szpady, przed niewidzialnym wrogiem niezlęknione.

— To jasne, nie damy się, panno Irenko—zaśmiał się, owijając zaraz w zuchwałą wesołość powagę słów i spojrzenia.

Siedziała przy nim wyprostowana, onieśmielona, kącikami oczu spoglądając nań co chwila ze zrezygnowanym podziwem i głuchym żalem.

— O, ja... — machnęła ręką i ukryła twarz w zarękawku.

— Co, znowu melancholja? Już nie pytam o tych admiratorów... Dla odmiany widziałem panią kiedyś z przedziwnie wiotkim, bardzo eleganckim młodzianem...

Urwał. Zwróciła nagle głowę wprost ku niemu, popatrzyła szeroko otwartemi oczami. Bronzowy, ciepły płomyk jej źrenic zaszklił się łzawą jasnością. Trwało to sekundę. Schowała znów w mufce twarz i oczy.

Dalszy ciąg nastąpi.

3)

ZIARENKA PIASKU.

O WŁOSACH.

Zatrzymujemy się przed długim, niskim budynkiem. To szpital rządowy, przeznaczony dla Europejczyków.

— The doctor!

Przez długą werandę idzie w naszą stronę energicznym krokiem młody mężczyzna. Zmrok zapada, jednak rozpoznaję na wyniosłym korpusie, ustrojonym w niedorzeczny europejski kostjum, twarz czarną.

Czarny człowiek spogląda na mnie uważnie—zrozumiał.

— Jestem dyrektorem tego szpitala. Moim obowiązkiem jest nieść pomoc Europejczykom. Proszę mną rozporządzać.

Wskazuję moją kuzynkę, która pyta po francusku:

— Est ce un Blanc?

— Oui Chérie!..

Westchnienie ulgi dobywa się z jej piersi. Ileż razy kłamstwo jest prawdziwą pociechą w życiu...

Żeby tylko nie poznała po przeciągłym akcencie angielszczyzny hinduskiej...

Ale nie! Nasz człowiek jest „Mahomedan". Kończył szkoły angielskie w Madrasie, a uniwersytet — w Kalkucie.

Przy zaimprowizowanem oświetleniu pochyla się nad chorą.

— Co ją pogryzło?

Nie wiemy. Ale w welonach kapelusza znajduje się jeszcze jeden żywy owad. Doktór łapie go pincetą. „Black indian bees",—oznajmia. To coś, jak nasze trzmiele, tylko czarne i trzy razy takie duże. Powoli wyciąga żądła, obmywa ranki i liczy: 5, 6, 10, 12, 18, 22...

— Nigdzie więcej nie kłuje?

— Nie—odpowiada chora.

— All right! Parę dni gorączki, bólów, djety.

Ciemno już!

— Więc nie umrze?

— Nie, dla śmierci dorosłego człowieka trzeba przynajmniej 60 żądeł, a ta pani ma tylko 22!

Doktór podsuwa mi szklankę z cuchnącym płynem...

— Dobrze!

Wszystko gotowe. Wloką moją biedną towarzyszkę do powozu. Ktoś podaje mi rękę. Ale podnoszę się sama i siadam koło chorej. Naprzeciw usiadł czarny doktór.

Jedziemy wolno przez wąskie, jasno oświecone uliczki. Nieznośni chłopcy stają na stopniach i przyglądają się nam z uśmiechem... Dojeżdżamy do hotelu. I tutaj, w chłodzie panka, pokrzepione niezawodnem whisky z sodą, czujemy się lepiej. Kuzynka moja, ułożona na świeżej pościeli, gorączkuje spokojnie, ja kiwam poważnie głową na wesołe zapewnienia doktora, że za trzy dni wszystko będzie dobrze. Rozbieram się powoli; zaczynam czesać moje ciemne, bo dość dawno niemyte, zatłuszczone i przepocone włosy. Coś się w nich zaświeciło raz, drugi... Wpatruję w lustro zmęczone oczy. Świeci się, srebrzy promień nad lewą skronią, przez całą długość za pas sięgających włosów.

Posiwiałam!..

Jakaś łza pod powieką, szloch w ściśniętem gardle, w uszach rozdźwięczona arja z ostatniego aktu Traviaty: Addio de-el pa-assato be-e-ei giorni ri-i-i-identi...

Czarny panie doktorze z Madrasu! Cześć ci tutaj oddaję! Zająłeś się nami z taką sumiennością, opiekowałeś tak troskliwie, jakbyś się urodził na bruku Warszawy lub Paryża, jakbyś nigdy nie słyszał o różnicach kasty i rasy, jakby w twem czarnem sercu obudziła się prawdziwa miłość bliźniego. A może to było tylko sumienne wypełnienie obowiązku lekarza... Pieniędzy od nas nie wziął. Podałam mu ręką na pożegnanie. To—wszystko!

Piękne Panie, oto powieść moja skończona! Wiem, że jest ona podana w nieudolnej formie, raczej kinematograficznej, niż literackiej.

Wybaczcie! Nic tu z mojej fantazji nie wyszło. Opisuję tylko to, co widziałam. Nie woń róż i jaśminów, nie falowanie piersi bajader, nie ich purpurowe wargi i błysk klejnotów wschodu, ale smutną i bolesną prawdę. Niech w imię tej „łagodzącej okoliczności" przebaczona mi będzie moja śmiałość pisarska.

Znam wiele książek, traktujących o Indjach, i muszę przyznać, że w żadnej nie spotkałam obserwacji, zamkniętych w tym artykuliku. A przecież są to szczegóły, które walą pięścią między oczy.

Przynajmniej między oczy kobiece...

Piszę też te drobiazgi—Bóg mi świadkiem — nie w celu przydania nowego, a bardzo problematycznego, blasku mojemu imieniowi... *).

Raczej obiecuję sobie obudzić w Was, Koleżanki, pasję do podróży, namiętną ciekawość poznania, pragnienie rozkoszy widzenia! Chwileczkę — proszę:

Nie wykrzykujcie zaraz zgodnym chórem litanji o spadku marki polskiej, o obowiązkach, związanych z teatrem, o trudnościach „wyrwania się..." I dziś macie pieniądze na stroje i klejnoty. I wczoraj i jutro znajdziecie engagement o każdej porze roku, o ile danym Wam jest prawdziwy talent. I po wojnie, jak i przed wojną, gdzież przykład, aby młoda, piękna i utalentowana kobieta nie mogła dojść do tego, czego chce? Chcieć!

Oto cała trudność: naprzód wiedzieć, czego się chce, a potem umieć chcieć długo i uparcie. Rzecz Dobrą.

Przypominam sobie, że w kołach aktorskich naprawdę umie się tylko „wyduszać" dobre role na dyrektorze, a wolę ogranicza do utrzymania raz zajętego stanowiska. Cel w tym wypadku uświęca środki... Najwięcej traci na tem zawsze sam talent, bo obok tego wonnego kwiatu wyrastają cuchnące, jak relikwie hinduskie, chwasty zawiści, intrygi i lęku! Strach przed czemś nowem, lepszem, ajaj — młodszem prześladuje nas w dzień i w nocy. A przecież każdy ma swoją kolej, i żadna siła biegu życia i rozwoju geniusza ludzkiego powstrzymać nie zdoła.

Ach, gdyby raz wyzbyć się tych zazdrostek! Gdyby raz wypluć goryczkę, która piecze koniuszczek różowego języczka...

Gdyby raz otworzyć serce dla Miłości prawdziwie koleżeńskiej i złożyć dłonie do szczerego oklasku!

Kto wie, czy w tej chwili nie za wiele żądam od siebie samej... A jednak rozumiem, że to byłby najlepszy sposób „utrzymania stanowiska", bo prawdziwa radość tworzenia opromieniałaby nasze kreacje. Inaczej, cała robota bywa mniej lub więcej doskonała, ale talent jakoś smutnieje; trwając w wiecznie obronnej pozycji, obrasta kolcami, jak jeż; w powtarzaniu swych nieprzewietrzonych doskonałości starzeje się przedwcześnie i kiśnie, jak to masło w świątyniach wschodu.

---

*) Pamiętam, że gdy raz przetłómaczyłam sobie sztukę „La Rafale" Bernsteina, pan Władysław Rabski napisał w Krytyce: „Ach, gdyby Mrozowska tak tłómaczyła, jak gra!"

sprowadzić rozmowę na Lydję i zapytywał o jej zdrowie. Ale ten przedmiot zdawał się nie podobać księciu. Odpowiadał krótko:

— Moja córka ma się dobrze. Bardzo dobrze.

Poczem zaczynał mówić o czem innem. Ale Sawinski, którego dręczył niepokój, powracał do tego tematu różnemi, krętemi drogami. Wreszcie raz książę się rozgadał. Był w przystępie czarnej melancholji.

— Lydja, hm!—rzekł—to moja jedyna troska, Mikołaju Władymirowiczu. Co się stanie z tem dzieckiem? Myślę o tem bezustannie. To mnie nurtuje. Potrzebaby, żeby stąd wyjechała. Chciałem żeby wyjechała z Sołtykowemi zeszłego tygodnia. (Sawinski nie mógł powstrzymać żywego poruszenia, usłyszawszy tę nowinę). Wszystko było gotowe... Była na pasporcie pani Sołtykow. Ale w ostatniej chwili uparła się, że nie pojedzie. Powiada, że nie opuści miasta inaczej jak ze mną... To szaleństwo... Pogniewałem się z nią; pokłóciliśmy się bardzo ostro; ja wpadłem w gniew, ona także. Potem nagle rozpłakałem się z radości i wziąłem ją w objęcia. Ona ma wielkie i czyste serce, moja córka.

Łzy napełniły oczy starca.

— Powiem ci coś, Mikołaju Władymirowiczu. Nie sądź pan, że Lydja zostaje przy mnie z litości, dlatego, że jestem chory i bliski końca... To coś o wiele głębszego. To dlatego, że mnie kocha, poprostu. Byłbym zdrów jak ty i nie odstąpiłaby mnie również... Wszyscy mają ją za dziecko wesołe i lekkomyślne. Tak; jest dzieckiem wesołem i lekkomyślnem, ale to tylko cząstka jej istoty, którą każdy widzi. Ja jeden wiem, jak ona kochać potrafi. Tego nie mówi słowami... To się wyczuwa nagle, w jakiejś drobnostce, w jednem spojrzeniu, w jednym ruchu prawie nic nie znaczącym. — I to napełnia człowiekowi duszę jakby olśnieniem. Obecnie prawie nie rozmawiamy ze sobą. Śmierć Pawła strasznie ją wstrząsnęła, biedaczkę. Przychodzi do mnie parę razy dziennie... Ale o Pawle nie wspominamy ani słowa. Ona jest bardzo dumną, nie chce żeby się nad nią litowano. A przytem nie wiem co zaszło pomiędzy nią a Pawłem w czasie, kiedy go zabito. Serca kobiet, mój drogi, są nieprzeniknione, a Lydja jest już kobietą... Nie wychodzi... nie widuje nikogo.—Jest w tem jakaś tajemnica, mój kochany... Ja nie wiem...

Umilkł na chwilę, zadumał się, patrząc na Sawinskiego.

— Ona pana bardzo lubi, Mikołaju Władymirowiczu — rzekł. — Może powie panu coś więcej, a może nic nie powie. — Sprawia na mnie wrażenie kogoś, co walczy sam ze sobą. Przyjdzie chwila, kiedy się ta walka skończy... Wtedy, zobaczymy... Ale co się z nią stanie w tem przeklętem mieście? Gdy mnie zabraknie, czuwaj pan nad nią, proszę. Moja żona, najlepsza w świecie kobieta, nie ma dwóch myśli jasnych w głowie... Nie będzie wiedziała co począć; będzie się wahać pomiędzy tysiącem projektów i wreszcie nic nie zrobi... Gdybyś pan był tu jeszcze, powierzam ją panu. Wywieziesz ją pan ze swoją żoną i dziećmi za granicę.

Głos mu zaczął drżeć; uczynił wysiłek, aby się pohamować.

— Pomówimy o tem jeszcze — rzekł — pomówimy. Bądź pan tak dobry i dorzuć szczapę do ognia Zdycham z zimna.

W kwadrans potem usposobienie jego zmieniło się. Wypił kieliszek koniaku z butelki, którą kazał przynieść dla Sawinskiego. Szczapy silnie płonące oświetlały pokój jasnym płomieniem. A gdy Sawinski wstał, aby się pożegnać, książę mu rzekł:

— Pan znasz, zdaje mi się, przedstawiciela dla spraw Hiszpanji. Przyprowadź mi go kiedy. Muszę z nim pomówić o pewnych planach, jakie mi się snują po głowie. Podróżowałem niegdyś po Hiszpanji przed ożenieniem. W Andaluzji są cudne kobiety... Ach! młodość moja i te wąskie ulice Sewilli, i ta woń jaka się podnosi z rozpalonego bruku, kiedy go polewają... Nie wyobrażacie sobie, jak często o tem myślę... Przyprowadzisz mi tego Hiszpana, dobrze?

* * *

Kilka słów księcia rozbudziło gwałtowną ciekawość Sawinskiego. Jaki dramat wewnętrzny rozgrywał się pomiędzy tem dwojgiem uroczych dzieciaków przed tragicznym końcem Pawła? Czuł, że nie zdoła rozwikłać tej zagadki. A przecież próbował. Ale jedyny wynik był ten, że obraz Lydji, teraz, kiedy jej nie widywał zapełniał coraz bardziej jego myśli. W pewnej chwili trzeźwości sam się temu zdziwił.

— Jakto! — powiedział sobie. Znajduję się wśród najdziwaczniejszego chaosu; w wirze rewolucji zmiatającej z powierzchni ziemi dawny świat... Codziennie grożą mi różne niebezpieczeństwa; mogę się dostać do więzienia jak tylu innych, lub gwizdnie mnie kulka na lada zakręcie ulicy. Rząd sowiecki zagrabi lada dzień banki. Jestem rozdzielony z żoną i dziećmi; mam tysiące interesów i trosk na głowie. Zdawało by się, że to wszystko powinno mnie pochłaniać całkowicie. A oto tracę więcej niż połowę mego czasu, rozmyślając o dzieweczce, która mogłaby być moją córką i usiłując zrozumieć stan jej serca. Tracę czas? Co za omyłka! Zyskuję na czasie. To opatrznościowy los postawił Lydję Siergiejewną na mojej drodze w tej strasznej chwili. Myślę o niej, widzę jej świeżą twarzyczkę przed sobą, jej piękne jasne włosy falujące jak wzburzone nurty rzeki; jej oczy czyste, jej dziecięce usteczka... Gdyby nie ona zastanawiałbym się wyłącznie nad konjunkturami politycznemi danej chwili; trwożyłbym się, jak moi klubowi przyjaciele, popadłbym w czarne nastroje, nerwy moje nie zniosłyby tego naprężenia i stałbym się neurastenikiem. Lydja, nawet nieobecna, ratuje mnie.

To też Sawinski zamiast odpędzać od siebie wspomnienie Lydji, coraz bardziej w niem się zatapiał. Był on człowiekiem czynu, ale był także marzycielem. Zresztą, kto wie, czy to nie poeta podnieca zawsze działacza? Była to jedna z teorji Sawinskiego, którą powtarzał chętnie:

— Wielki aferzysta jest zawsze poetą. Gdyby nie wyobraźnia, byłoby się przykutym do ziemi. Bujać można tylko na skrzydłach. Napoleon, największy gienjusz praktyczny swego czasu, był również jego największym marzycielem. I kto wie, czy nie zawdzięcza swej wspaniałej karjery swoim chimerycznym porywom? Dziś nawet, alboż nie widzimy, jak na każdym kroku zwycięża chimera? Na jednego Simeonowa, który posiada tylko zmysł polityczny, jest stu marzycieli, żyjących olśniewającemi widziadłami w obłokach.

Wracając do Lydji, zadawał sobie bezustannie pytanie, czy ona kochała Pawła? Nie wierzył w to. Ale w takim razie, pocóż to długie odosobnienie? Było coś ciemnego w tej tragicznej historji. Czas bez wątpienia rozjaśni to. Lecz jemu było pilno zobaczyć ją, wyczytać w głębi jej oczu tajemnicę, którą tam dostrzegł jej ojciec, nie mogąc jej odgadnąć!
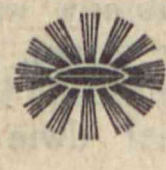
Dalszy ciąg nastąpi.